NUMER 32. DNIA 19. SIERPNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z okruchów starego Lwowa.

Historja Lwowa ma to do siebie, że trzeba ją krok za krokiem odkopywać, przyczem rolę pompejańskich grabarzy przyjęli na siebie przedsiębiorcy budowy kanałów, zakład gazowy, wodociągowy, w ogóle ci wszyscy, co rozkopują ulice Lwowa w najrozmaitszym celu i na rozmaite sposoby. Zwykle też po każdym takim większym, a dla mieszkańców utrapionym rozkopie, pojawiają się w dziennikach lakoniczne notatki, donoszące o jakiemś historycznem wykopalisku, które archiwarjusz lwowski wyjaśni, a publiczność z olimpijskim spokojem przyjmie do wiadomości.

Na placu marjackim, od ulicy teatralnej, odkopano ostatnimi czasy szczątki dawnych murów miejskich i fortyfikacji. Kilkuwierszowe wzmianki dziennikarskie obwieściły ten wypadek, tuż prawie obok rubryki „znaleziono“ i... na tem koniec! Fortyfikacje lwowskie, dawniej chluba i duma mieszczaństwa, interesują dzisiejsze pokolenie w tym samym stopniu, co znaleziony przez kogoś tam kulczyk złoty, zgubiona portmonetka, lub skradziony pierścionek.

Dobrze jeszcze kawał muru, którego dotknąć się można i namacalnie zaobserwować, ale czy może kogoś z Lwowian zainteresować rzecz, która w najmniejszym nawet szczątku nie istnieje, zabytek odtworzony tylko z niedokładnych rysunków i sumarycznych opisów? Ano spróbujmy.



Dawna furta jezuicka we Lwowie.

Ci, którzy widzieli odkopany mur przy placu marjackim i ci także, których przeszłość Lwowa choć trochę interesuje, niech się zwrócą twarzą w stronę ulicy hetmańskiej i pójdą wzdłuż kamienic, aż do miejsca, gdzie dyrekcja finansów przecina się z placem św. Ducha. Idąc, niech sobie ci amatorowie pomyślą, że tą samą drogą biegł ongi w dalszym ciągu mur fortyfikacyjny miejski, którego szczątki niewątpliwie by się jeszcze pod ziemią znalazły, a w tym murze od placu św. Ducha wznosiła się „furta jezuicka“, której wyobrażenie przedstawia właśnie dzisiejsza rycina „Tygodnia“.

Furta jezuicka było to przejście dla pieszych, którzy z miasta dostać

się pragnęli przez Pełtew na folwark jezuicki (dzisiejszy ogród imieniem tych ojców nazwany) folwark Erazma Syksta, w górze ulicy Sykstuskiej, lub do kościoła Marji Magdaleny. Głównie jednak chodziło o folwark Jezuicki. Sprowadzeni przez arcybiskupa Dymitra Solikowskiego, przy samym końcu wieku XVI. zagospodarowali się Jezuici we Lwowie bardzo szybko, a doszedłszy po długim procesie z żydami lwowskimi i miastem do własnego kościoła, zapragnęli też ułatwionego wstępu przez mury miejskie do swego folwarku, na którym zdołali już urządzić gorzelnię, cegielnię i inne przedsiębiorstwa gospodarskie. Miasto opierało się długo projektowi nowej furty, gdyż osłabiała ona znacznie fortyfikację, ale ostatecznie uledz musiało. W ten sposób obok bramy halickiej i krakowskiej, oraz jeszcze później wybitej furty bosackiej od ulicy ruskiej, powstała furta jezuicka z prowizorycznym mostkiem rzuconym przez Pełtew i z drugą furtą zewnętrzną od strony wałów.

Niebawem jednak okazało się, że furta ta stanowi bardzo słaby punkt w fortyfikacjach miejskich. Zwłaszcza w popłochu i trwodze wojennej cisnęło się do niej wszystko, co w ostatniej chwili pragnęło się dostać do miasta, do tego stopnia, że kilkakrotnie nawet w obliczu nieprzyjaciela nie można było jej zamknąć i dopiero silna kanonada ze sąsiednich baszt zdołała utrzymać przednią straż wojsk najezdniczych w należytej odległości. Wązkie przejście, słaby most utrudniały bardzo komunikację, wobec czego w takich chwilach popłochu i paniki nigdy nie obeszło się bez ofiar w ludziach, którzy tonęli w nurtach bystrzejszej jeszcze naonczas Pełtwi.

Ale także i w czasach spokojnych miejsce to bywało widownią różnych wypadków. Kronikarz lwowski Józefowicz wspomina, jak pewnej niedzieli cały tłum postrojonych odświętnie mieszczek, dążących do kościoła Marji Magdaleny, znalazł się nagle w niewonnej Pełtwi, dzięki temu, że most zdezelowany, nie mógł utrzymać ich ciężaru. Skończyło się wówczas na strachu i ogólnem przemoczeniu toalet damskich, oraz na sromotnym wśród ogólnego śmiechu odwrocie do domów.

W drugiej połowie ośmnastego wieku przystąpili Jezuici do przebudowania furty, na której szczycie zamierzali wznieść obserwatorjum astronomiczne. Magistrat zatwierdził przedłożone plany, z tem zastrzeżeniem, że obserwatorjum to w żadnym wypadku nie może utrudniać obrony miasta. Jakoż zbudowano nową furtę, a jej plany zachowane do dziś w Archiwum miejskiem, pozwoliły rysownikowi tegoż archiwum p. Kowaliszynowi na odtworzenie głównych zarysów tego prawie że ostatniego dzieła lwowskiego budownictwa wojennego. Bo już niebawem po zaborze poczęto burzyć fortyfikacje dawnego Lwowa. Furta jezuicka legła jedna z ostatnich. Dopiero w pierwszej połowie ubiegłego stulecia zdemolowano ją tak doszczętnie, że... ani kamień nie pozostał na kamieniu.

Fr. Jaworski.

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

Urodziłem się z Emilji Rozalji Ekeltówny, obywatelki miasta Warszawy, od Jana Józefa Szwarce'go (mówili wszyscy, o ile pamiętam, Szwarca, chociaż się tak pisał) przed powstaniem patrona Trybunału Mazowieckiego, w powstaniu porucznika I-go pułku Mazurów. Dwa dni po urodzeniu trzymały mię do chrztu w Locharnskim kościółku, do którego konno podążyłem na ręku panny Adeli Michelówny, bo drogi kołowej nie było, następujące osoby: Adelaida z Beslay'ów Michelowa, żona przedsiębiorcy i Antoni Chrząszczewski, (ach, jak jego nazwisko zostało w metryce pokiereszowane!), oficer artylerji polskiej réfugié en France. Dano mi na chrzcie Bronisława Antoniego, a podług wiarygodnych świadków, ojciec mój, na zwykłe zapytanie co do wychowania w świętej wierze itd., odpowiedział, że mię wychowa do walki z caratem — zdaje mi się, żem się jego słowu nie sprzeniewierzył, chociaż był to tylko prawdopobnie wykręt adwokacki, by mnie na papieżnika nie ochrzcić.

Ojciec mój był najstarszym synem Macieja i Anny z Gudatzów, małżonków Szwarców; dzia-

dek był majstrem kunsztu złotniczego, obywatelem miasta stołecznego Warszawy, i mieszkał przy ulicy Przejazd we własnej kamienicy „pod Lipką“ prawie naprzeciw Arsenału. Matka była córką Karola Augusta Ekelta z drugiego małżeństwa z Marjanną Chrystjanną z Seemanów: jakiego kunsztu był dziadek Karol August, tego nie wiem, ale sądząc z jego minjatury, należał prawdopodobnie do zamożniejszych mieszczańskich rodzin warszawskich i był kamiecznikiem na Lesznie. Wszystko to było wyznania ewangielicko-augsburskiego i pochodzenia czysto niemieckiego, co nie przeszkodziło dziadkowi Maciejowi popisywać się w szeregach gwardji municypalnej pod Kościuszką przy oblężeniu Warszawy przez Najjaśniejszego Króla Pruskiego, który nosa dostał, a babka Maciejowa, ledwo nie zginęła podczas rzezi na Pradze, co ją natchnęło nieśmiertelną nienawiścią ku Moskalom i ich stronnikom; druga zaś babka, Ekeltowa, nieraz mi opowiadała, z jaką zgrozą patrzała z za Wisły na płonącą Pragę. Z łaski tego pochodzenia mam w gronie protenstanckiego waszawskiego mieszczaństwa licznych krewnych i powinowatych: Malczów, a głównie potomków słynnego doktora Wilhelma, ożenionego z Julją Ekeltówną, przyrodnią siostrą mojej matki, a pochodzącego po kądzieli od Gudatzów i Bandauów (tak twierdzą familijne rodowody): Rezlerów, tych, co sporządzali takie wyborne flaczki zapiekane na Elektoralnej (samem się miał później o tem z gustem przekonać): Szubertów, od dyrektora ogrodu botanicznego: Szwarców, od dziadkowego brata, prawnika — ale któż tych wszystkich łyków warszawskich policzy? Dość powiedzieć, że wszystko to twardo stało przy Konstytucji Trzeciego Maja, a później przy Napoleonie, a choć się chętnie niemczyzną popisywało, póki doktor Wilhelm Malcz nie wprowadził prawie gwałtem (dzięki protekcji Paszkiewicza, którego leczył) polskiego języka do okrągłego kościoła ewangielickiego na Królewskiej, odznaczało się bardzo małą sympatją dla absolutyzmu, dla wszelkich gubernatorów, hofratów, kozaków i czarnych huzarów. Ledwom nie zapomniał o babci Gerlachowej, której zajazd na krakowskiem Przedmieściu miał później zostać hotelem Europejskim, i o córce Augusta Ekelta, przyrodniego brata mojej matki, Julji Ekeltównie, bo obie te szanowne niewiasty obdarzyły mię w swoim czasie przyzwoitymi legatami, jedynie dlatego, że ojciec mój i ja odznaczyliśmy się buntownictwem. Cała ta wcale nieszlachecka prozapija znała się i przyjaźniła ze starym Szopenem, którego syna, niewiadomo dla czego, Chopinem przezwali, z Hofmanami, do których miała przymknąć Klementyna Tańska, a z drugiej strony z Szuchami, Fukierami, Janickimi, jednem słowem z honoratiorami starego mazowieckiego grodu, głównie z chodzącymi się modlić na Królewską i na Leszno do ewangielickiej kirki i do kalwińskiego zboru.

Opiszę teraz, jak syn złotnika z Przejazdu i córka kamienicznika z Leszna dostali się z nad brzegów Wisły aż do „rogu Gallji“, ku wielkiemu zdziwieniu potomków dawnych Bretonów i Osismiów. Nie byłoby tak dziwnem teraz, bo gdzież na kuli ziemskiej nie ma polskich tułaczów? Ale było to dopiero trzydzieści kilka lat po ostatnim rozbiorze, a dziś minęło już przeszło sto lat walk, rzezi, prześladowań i ucieczek — gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Józef Szwarce (tak się nazywał dla odróżnienia od brata Jana) należał do listopadowego spisku, do którego babka (dziadek już nie żył) dzięki Suworowowi trzech swoich synów pchnęła, Józefa, Feliksa i Jana — czwarty, Konstanty, był za młody. Ciocia Marja, ciocia Teresa i ciocia Emilja (jeszcze żyjąca — niech ją Pan Bóg błogosławi!) z pewnością szarpie skubały i kule lały.

(C. d. n.)

卐 Moze ta to chłopiątko jegomość mało dobrze okrzcili?

Seł se raz *juhas* — wołali go *Wojtuś*, pisał sie *Świrlik*, nazywali go zasie *Sawina z Brzegów* — bystry-ze suhaj ś niego béł, — ano seł se wesołom dolinom popod *Wołosyn* kajsi. Słonko piknie grzało, graniami sie obzierało, wiaterek lekućko poduhował, kosodrzew pakła, kieby kadzidło po kościele.

Juści przystanąn se juhas i sprzepatrzuje hore po upłazkak między turnie ku ścienie, cy kany sie hawtędy *kozy* moze nie pasom. Nauspozierał se tak kielo upłazków daremnie, kie uźre, ba sie haniok cosi pod ubocom cyrwieni. Kozy to ni majom być, jacy jakasi dziéwka, cy co.

Nabliza sie, podchodzi pyrciom ku uboce. Ano juści *dziewka* stoi se pod turnickom, jakieś korzonki ozgrata i zjada.

Nadobna-ze je! pikna-ze do cudu! Urośniona bujna taka, piersiata, ocka siwe, licka krasne, — warkoce carne całe plecy kryjom. I strojna-ze! Ano jakasi *pysna bogacka,* ślicnie-ze wyglądze! ozmyśla se juhas. Skądze sie ona haw zaś wziena?

Kie sie prawie nablizuł, dziewcyna sie ku niemu zwyrce i śmieje sie wesoła, a pikne-ze zuby miała. *Kieby mnie ino zalubieła,* namyśla se chłopcysko. Cóz bedzies robiuł, kie nijakiej śmiałości ku niej nimiał, telemze dziéwce straśnie pikne béło i aze go ciarki brały. A dziewcyna se ino pozwyrtuje na upłazku, kany stała i śmieje sie doń, uciesna-ze béła. Jaze w samej rzecy końce dośmieluł i przegaduje: *E, skądześ dziewce? Ftóraz cie tyz macierz wynosieła, coś taka siumna kisasanka!*

Dziewcyna nie rzece nic, ino se wyska zaś w głos, a śmieje sie, wesoła-ze béła.

Juhas sie hańbiuł ocu podjąć, straśnie sie mu dziéwka zwidziała, przylgnąn-ze ku niej.

— *Bądź moja!* gwarzy.

— *Ba cemuby zaś nie,* pada dziewcyna, *bedem twoja i wolom mam takom, kie ty ino, chłopce, fces. Musis ino przystajać na to, co ci powiem.*

— *A cóz fces? Sytko ci dam! Korale, wstązki, kajakie w mieście som jest, dam ci, bądź ino moja!*

— *Kieś mie juz tak skwapnie z piersego końca zalubieł, konajze chłopce do ostatniego, co ja ino fcem!* pada dziewcyna.

— *Cóz jacy fces? Ba ino raz rzeknij, a dokonam.*

— *Słuhaj-ze chłopce i dobrze se zbac! Do trzeciego razu musis mnie pobośkać!*

— *A cózbyk tobie nie pobośkał?* — wraza sie zaś juhas.

— *E? ino nie tak warciutko!* — śmieje sie dziewcyna. *Wies,* rzece, *suhaj! i dobrze słuhaj! Bez trzy dni będzies to konał, co ci napowiem. O północku dzisiok przyńdzies haw, kany tera stojem, pod tom turnicke i pobośkas mnie w samom gembuśke, łahotnie, ino raz jeden i pódzies zarasinecko prec. W drugi, ba w trzeci dzień samo tak o północku przydzies znowa i takoz mnie pobośkas.*

Kie to ino zdoles, twojak **na wiecność!** *iście przyślubiam! Jacy tera sie strać! A kie pódzies dołu do jednego ino razu poźrej ku mnie i hybaj ku sałasu! Ja tobie, suhaju, nie poniewolem, kie mnie rad widzis, to przydzies.*

No i widno, co juhas przystajał, bo hnetki poseł, nie obezwał sie nic, ino głowom a ręcami przykiwował na zgode.

Kie béł juz na dolinie w kosodrzewinie i ku lasu sie przyblizował, obeźrał sie do jednego razu, jako mu dziewcyna napedziała, no i uwidział jom, co na samym tym upłazku stała i ku niemu sie śmiała uciesnie, co sie mu aze serce zwarło ode radoście!

Kie se tak dalej lasem idzie, ozmyśluje se, *e pikna-ze to dziewka! Całkie nic jej nie chybia. Ino skądze sie ona haw w takik pustkak nasła?*

Znałek, myśli se, *dwie ino dziewki, godnomze podobe miały, ale kaz im ku tej-ta sie przystawiać! Jedna* **Hanka Gomboska z Jurgowa**, *druga* **Marysia od Słodycków z Ratułowa,** *obieze pysne dziewki, — przecie nie takiej krasy som, co zaś ta na tej ubocy — ostomilsa!*

Co ona ino z tym bośkaniem namyśla? E, jući dziewka, jak dziewka. Ochote takom ma. Trza jej ku myśli zrobić, co ino fce, kie sie tak dokłada.

W sałasie towarzysiom nie ozpedział nic, ino na odwiecerz, coby mu sie cas króciuł, wziąn sie drwa rąbać. A sytko se zbacował, kie mu tyz ta tak naremnie ta dziewcyna do serca wpadła, co jom tak od jednego razu zakochał i tele pociesenie od niej miał.

Przysła jući noc. Pozierał po niebie, coby ino nie omieskać przed północkiem. Ano hybaj w sam cas, pilno mu béło dziéwce nawiedzić.

Hotoli je! Na samym tym upłazku pod turnickom do cienia stoi dziéwka i ceka.

Nablizuł sie, straśnie mu sie serce tłuce — pobośkał dziéwce raz w samom gębuśke i poseł zasie dołu. Ogień ino ucuł taki, co raty, przeraty! coby wągiel jarzący wziąn między zuby.

Straciuł sie pote kajsi w lesie. Nautykał sie tak po huściakak, kieby go zgłupiło, aze na raniu doseł ku sałasu.

Na drugom noc idzie se znowa haw.

Przychodzi — i aze sie mu w ocymnieniu włosy zdurzyły na głowie, z nienazdania, co nie uźry. Pod turnickom na upłazku siedzi se *raptawica* taka wielga. Ocy ma ohyda jacy same te, co je dziewcyna miała, ino sie jarzom, kie zarnicki! E raty! Bać sie ta nie bał, wrodziuł sie ino, jakoz ta pobośkać takom pacwe?! I ofuknąć moze!

Ano zawróciuł sie i poseł dołu. *Cary, nie cary,* myśli se, *jući nic, ino dziewcyna wie jakiesi śtuki, zna pocynić* i udała sie mu na ziabe brzydźkom, coby go okłamać. Luto mu béło dziéwki poniechać. *Pockaj,* myśli se, *ścierpiem i to.* Trza

béło ino pobośkać. Bać sie ta nie bał, jacy sie wrodziuł.

Ano wysła zaś trzecia noc. Co sie to nie bedzie robiło? púdzie zaźreć na to. I poseł.

Przestrzega sie, zachodzi, — *psia kość zatracona!!!*, siedzi se znowa sama ta zíaba raptawa, a ocy sie jej zazgnom, jako tamtej ta noce.

Nie na ręce mu to béło. *Sotwa zdolem, sotwa nie zdolem,* myśli se. Bać sie ta nie bał, ino sie cięgiem wrodziuł. Nijak nie dał rady, końce nie pobośkał.

Łapił sie ręcami za głowe, jak sie nie puści dołu, uciók. Kopyrtał sie, kiełzał, siązył-ze, kieby go *powicher* stusił. Opar sie aze w lesie.

Cóz kie mu sie cosi sytko w głowie odmienino! Zgłupiło go do znaku. Jąn sie burzyć do sałasa, kieby béł opity, a skrzycał w niebogłosy. Wylecieli nań towarzysia.

— *Cóz ty, chłopce, robis?! nie rób burniawy! co cie wodzi, coś telo postrachaty, coś tak zwartogłowiał? Cyś sie ściemierzuł, cy cie co zdurzyło, coś cysto zgłupiał?!*

On jacy nic, ino ciska sie, dudra ręcami, a dre sie we światy. Biéda mu béło wyrozumieć.

Ano do znaku zgłupiał! Cóz mu bedzies robiuł?

Kie fto osale, naracej mu ino nie sprociwiać sie. Nalepse to na tom chorość clenie.

Na raniu go kielo telo popuściło. Lóg se i usnąn. Wte juści obacyli, jaki béł odmieniony. Całkie zonacony na gębie, sponiewierany. Sytko na nim dodarte, i cuha i hołośnie i kosula. Kłobuk kajsi straciuł. Cały béł scadrzany.

Pote na dniu dźwignąn sie, nie pedział nic, ino poseł pilno dołu, w dziedzine. Kwapiło mu sie dó domu.

I haniok juz ostał przy matce, oćca ni miał. Spokojny béł wse, bezpiecnie se siedział w izbie. Choćkie ino wzięno go cosi, poniosło, to leciał jacy w polany nad dziedzine powysej zagrody, brzescał hawtędy, ozbuhał sie co raty. A kie dziéwke jakom uźrał, to tak brzydźko ku niej wołał, co aze przepytujem, ucho razi powtórzyć! Dziéwkom ino wse cosi przyganiał, jarki-ze béł na nie, wse cosi dziawolił, aze te nań pocęny wołać: *dziwozeniec!*

I takie mu juz przezwisko ostało. Ba i nie chybia ono, bo widno i ta dziéwka, co go tak zwiodła, a zmąciła, to béła iście sama *dziwozona*, z tyk, wiecie, co to rade matkom dzieci odmieniajom.

A tak skróś niej o rozum przyseł.

Ono to tak pewnikiem musi być — *moze ta to chłopiątko jegomość mało dobrze okrzcili, kie ku niemu dziwozona takom włade miała!*

Uzdajał *St. Ogończyk.*

A. Kallas.

„My w zgodzie żyjmy“...

(Z cyklu szkiców: „Na Rusi“).

W odświętnych szatach, bo to jej święto przecie, pobiegła w pole do męża, niosąc w koszyku obiad dla niego. Spóźniła się bez mała o godzinę; więc bieży spiesznie, a taka w niej nagromadziła się żałość, że nietylko pot ociera z twarzy, ale i łzy, które raz po razu napływają jej do źrenic, nie ujmując wcale żałości, ale jeszcze jej przyczyniając.

Na dworskich polach ruch wielki. Wyjechała maszyna, a tam, gdzie zboże się pokładło od ulewnego deszczu i maszyną nie poradzi, żną ludzkie ręce. A jest ich dość tych rąk do pracy, bo sprowadzili „górniaków“ i robotników z miasta. Wszystko to zaś ruskie, bo Polacy świętują dziś.

Wypatruje między robotnikami swojego chłopa i widzi, że drudzy odpoczywają, podjadłszy sobie; on zaś żnie jeszcze. Nie na dniówkę robi, lecz na akord.

— Ano haruje ci on — myśli kobieta. — Dziecisków w chałupie cała kupa; jeden chłopiec najstarszy w gimnazyji. Kiej ma na wszystko starczyć, to trza harować, bo ciężkie czasy teraz.

Podwaja kroku, by mu już ten obiad podać. Lecz kiedy stanęła przed nim i on ani na nią spojrzawszy, żąć nie przestawał, postawiła obok koszyk z jedzeniem i odeszła usiąść na miedzy.

— Moje święto — myśli kobieta z uporem. — A cóż to? Wiedzieć powinien, żem w kościele była. Kazanie dziś dłużej trwało i spóźniłam się. No i co? Wielka rzecz!...

Złość w niej wzbiera i mięsza się z żalem i urazą jakąś. Niewiadomo, do kogo urazę czuje; może do księdza za to kazanie właśnie, bo bez to kazanie taki się w jej sercu żal nagromadził, że już nawet nie broni przystępu tej złości i kto wie, co to jeszcze z tego będzie.

A złość w niej kipieć już zaczyna, że ino

wybuchnie. Nie rozważa, jeno myślom swoim się przysłuchuje, jakby ich głos słyszała. Patrzy przed siebie i nic nie widzi, bo w siebie zapatrzona, w swoją dolę. Nie zauważyła też, że chłop przysiadł się do niej i jedząc spogląda na nią.

— Ukąsiło cię dziś co, że tak siedzisz, jakbyś niemrawą była? — spytał po chwili.

— Ni.

— A więc czego?

— Dziś moje święto.

— Toś się i wystroiła.

— W kościelem była.

— I bez to z obiadem się spóźniłaś. Złościło mnie w pierwszej chwili, bom głodny był. Alem nic nie rzekł, bo i jakże? Święto świętem. Szanujesz ty moje święto, szanuję ja twoje! No, dajże gębusi i sporzyj na mnie, jako to umiesz.

Przysunął się do niej.

— Cóż to? Nie słyszysz, co?!

Rozpłakała się na to i płakała coraz gwałtowniej.

Strwożył go ten płacz.

— Rózia! Może jakie nieszczęście w chałupie?... Powiedz-że!

— Ni.

— A ino czego beczysz?

— Bo mnie taki żal rozpiera, że nie wytrzymam. Ksiądz na kazaniu wyklinał dziś wszystkie kobiety, które polskie są, a za ruskich chłopów powychodziły. Mówił ksiądz, że kobieta taka wiary swojej nie utrzymuje, jak należy, że w swoje święto razem z chłopem pracuje, że do kościoła nie często zaglądа, że dzieci źle chowa i że grzechy się mnożą w takiem małżeństwie.

Ulżyło jej to wyznanie, bo przestała nagle płakać i znacznie się uspokoiła.

Za to w nim krew zawrzała.

— A bodaj przepadli, co takie nauki dają! W kościele nienawiść rozsiewają i złość! A bodaj ich złość i nienawiść pożarła!

— Nie klnij Pietrze! Ksiądz świętą jest osobą.

— Gdy o świętych mówi rzeczach! — przerwał żywo. — Ale ciężko grzeszy, gdy świętego miejsca niepomny, jednych ludzi przeciw drugim podjudza. Kobieta z ciebie głupia, więc nie rozważyłaś nic, jeno opętały cię te księże słowa i co? Odejdźże od chłopa swojego, od naszych dzieci, co ano moje i twoje są. Odejdź i co?...

— Dyćem ci ślubowała...

— A widzisz!

— Ale może w grzechu żyjemy? Może nasze dzieci?...

— A co nasze dzieci? Dziewczęta polskie są, chłopcy ruscy, a wszystkie razem chrześcijańskiej religji; ino obrządek u tych i u tych inszy. Jeden Bóg dla wszystkich. A obrządki wiesz kto wymyślił?

— Ni.

— Ludzie wymyślili, a nie Bóg.

— Z książek o tem wiesz?

— Z książek.

— A ksiądz mówi, żeby grzesznych książek nie czytać.

— Będę ich coraz więcej czytał; a ty się nie bój, bo mocnieszy Pan Bóg od księdza.

— Ksiądz mówił, coby polka za polaka szła, a ruska za ruskiego, coby był jeden naród, a nie mieszany.

— Głupstwa pleciesz!

— Wie to kto, po czyjej stronie prawda!

— Więc cóż? Niech się księża i pany kłócą między sobą, a my nie mieszajmy się w to. Dobrze ci u mnie, to i czegoż słuchasz, jak cię kto podbechta na twojego chłopa? Niech się kłócą ci, co na kłótni zarabiają. My w zgodzie żyjmy jako i wprzódzi. A teraz gębusi daj.

Pocałowała go i uśmiechnęła się do niego.

— Głupie są ludzie — rzekła potem.

— A widzisz!

— Nie trza wszystkich słuchać.

— A widzisz!

— Każdy na swoją stronę ciągnie.

— A widzisz!

Uśmiechnął się do niej i rad był temu, że tak mówi. Dojadał resztek obiadu, a ona przypatrywała mu się z miłością. Chłop piękny był, smagławy, z siwemi oczyma pod czarną brwią a czuprynę miał gęstą i lśniącą. Usta świeże, zawsze uśmiechnięte, gdy na nią spoglądał, abo na dzieci. A taki silny, że bywało, gdy ją ku sobie przygarnął, ani ruszyć się nie mogła bez jego woli. Wiedziała, że ją miłuje, że nigdy na inną kobietę tak nie spojrzy serdecznie, jak na nią spogląda. Nigdy się też nie upije, pracuje od świtu do nocy; więc czegoż jeszcze chcieć od niego?

— Ksiądz tak mówi, bo mu chyba za to płacą — myśli sobie Pietrowa kobieta i chowając próżne już garnki do koszyka, uśmiecha się.

A Piotr pyta:

— Zgoda już?

— Zgoda!

Uśmiechnęła się i w wyciągniętą jego prawicę złożyła swoją dłoń znacznie mniejszą, ale

zarówno, jak ręka mężowa, ciemną i niemniej od jego ręki spracowaną.

Ogarnęli się spojrzeniem serdecznej spólnoty a gdy już odchodziła, wołał jeszcze za nią:

— Pilnuj dzieci, żeby sobie co złego nie zrobiły!

J. WŁ. REISS.

Uwagi o wychowaniu muzycznem.

Uwagi na czasie! uwagi dla wszystkich, dla „niepowołanych“ i tych, którym na wychowaniu zależy, uwagi, mające na celu oświetlić dzisiejszy system wychowania, wyplenić głęboko zakorzenione przesądy. Literatura, zajmująca się wychowaniem muzycznem, jest nader obfita. Powstają coraz to nowi apostołowie, głoszący, że jedynie ich metoda wiedzie do celu, wynurzają się niezliczone systemy o najbardziej rozbieżnych kierunkach, nie dające się ująć w jedno ognisko.

Z powodzi pism, traktujących o tym przedmiocie, wybija się na powierzchnię wydane niedawno dzieło p. Calvin Brainerd Cady: „Music Education“ (2 części).

Niemożliwą jest rzeczą w łamach pisma, przeznaczonego dla jak najszerszych kół, zdawać szczegółowo sprawę z dzieła ściśle fachowego; można jedynie w najogólniejszych zarysach zaznaczyć, na jakich zasadach zamyśla autor sprowadzić dzisiejsze wychowanie muzyczne na nowe tory, uznając, że obecny system nauki nie odpowiada zadaniu i wymaga koniecznej reformy. Autor obala utartą zasadę „wrodzonego uzdolnienia“ i kreśli obraz metody, dającej się użyć dla dzieci w najwcześniejszym wieku (mniej więcej już od 3—4 roku życia!) — a więc wtedy, gdy o właściwej nauce muzyki pospolicie nie może być mowy.

Jeśli nauka muzyki ma mieć widoki powodzenia, musi oprzeć się na wykształceniu *słuchu i poczucia rytmicznego*. To są nieodzowne, logiczne warunki, stanowiące podstawę wychowania, a właśnie dzisiejsze wychowanie stoi temu najbardziej na przeszkodzie, ażeby rozwinąć poczucie dźwięku i rytmu.

U nas pojęcie „muzyki“ jest równoznaczne z pojęciem „fortepianu“ lub innego instrumentu: kto gra np. na fortepianie, jest muzykalny i vice versa, kto jest muzykalny, ten... Gdyby gra na fortepianie i praca, którą się w nią wkłada, była rzeczywiście miarą „muzykalności“, to musielibyśmy chyba uchodzić za najbardziej muzykalne społeczeństwo, gdyż nieliczne są u nas owe szczęśliwe domy, w których nie rozlegają się całemi godzinami dźwięki „gam“ i „arpeggii“. Ten daltonizm pojęć jest powodem, że zanim dziecko wie, co to jest muzyka, zanim ją rozumie i polubi, zaprzęga się je do fortepianu bez stanowczej pewności, czy dziecko ma zdolność i zamiłowanie. Dziecku wtłacza się gotowe formuły, martwe znaki i słowa — surrogat muzyki!

Zupełnie jeszcze nierozwinięte ucho dziecka nie słyszy i rozumie tonów, które uderza, nie pojmuje tej nowej mowy, której się uczy. Jestto czysto mechaniczna nauka, polegająca na „wybijaniu“ gotowych już tonów, nauka, której ostatecznym celem, widniejącym w mrocznej oddali, jest zdobycie jak największej biegłości.

Ale ta biegłość (konieczna wprawdzie), zaniedbująca zupełnie wykształcenie ucha, nie może być celem dla siebie, tylko środkiem, którym się posłużyć należy dla podniesienia wyrazu muzycznego, uwydatnienia stylowych właściwości, środkiem, który podporządkować się musi artystycznym wymogom. Dziecko uczy się gry na fortepianie, jak na automacie lub maszynie do pisania, wybijającej za pociśnięciem zawsze tesame litery niezależnie od tego, czy kto umie pisać czy nie. Przy tego rodzaju grze ucho nie bierze udziału, nie szuka ni kontroluje tonu, sama tylko ręka przyzwyczaja się umiejscowiać tony na klawiaturze, odmierzać odległości klawiszy.— Niejednokrotnie doprowadza grający zdolność tę drogą czysto mechaniczną do takiej wprawy, że potrafi z zamkniętemi oczyma jedynie zapomocą dotyku nazwać klawisze, po których jego palce przebiegają, lecz jeśli sam nie gra i nie patrzy na klawiaturę, nie potrafi oznaczyć tonu, który ktoś drugi uderzył. Nauka muzyki, poczynająca się od grania „gam“ i „palcówek“ na fortepianie, zniechęca, odpycha i nudzi dziecko, staje się mechaniczną, bezmyślną tresurą, która przytłumia zarodki zdolności i kiełkujący zmysł muzyczny, gwałci indywidualność dziecka.

Dziecko traci interes dla gry, nie pojmuje, na co się przyda automatyczne klepanie pałcołomnych ćwiczeń — a z czasem znienawidzi fortepian. Zdarza się, że dziecko, obdarzone nawet prawdziwem poczuciem muzycznem, wypaczy się,

nie nauczy się muzyki, lecz stanie się męczennikiem rutyny i szablonu!

Mniej niebezpieczeństwa i szkody kryje w sobie dzisiejszy stan nauki skrzypcowej. Skrzypce nie rozporządzają wprawdzie, jak fortepian, pełnią harmonji, ale zato jako instrument zbliżony do głosu ludzkiego, rozwijają zmysł dla melodji, nadto skutecznie kształcą ucho, gdyż zmuszają ucznia do wydobycia, „tworzenia“ tonu, co wymaga już znacznie rozwiniętego słuchu. Samo strojenie skrzypiec przyczynia się do utrwalenia w umyśle dziecka pewnych stałych interwałów (kwinty) i poznania „bezwzględnej“ wysokości tonu przez poddanie „kamertonu — A“, będącego podstawą stroju. Ruchy prawej ręki, prowadzącej smyczek, wpływają dodatnio na „uświadomienie“ rytmiczne, oczywiście, jeśli nauka opiera się na zdrowych, naturalnych podstawach (Steinhausen: „Die Physiologie der Bogenführung“).

Sławny historyk muzyki A-W. Ambros pisze w swojem klasycznem dziele o dawnych Grekach: „Wychowanie muzyczne młodzieży miało zupełnie inne zadania i cele, jak tylko nauczyć ją śpiewać i towarzyszyć pieśniom grą na lirze. Chłopiec miał nietylko uprawiać muzykę, ale stać się muzykalnym“. Słowa te należałoby postawić jako program naszej nauki.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dr. Adolf Menzel: Systemy prawa wyborczego i ich oceny. Wydanie Bib. praw. społ. zeszyt I. Warszawa 1906.

Grono osób w Warszawie postanowiło wydawać drobne prace, oświetlające podstawowe zagadnienia społeczno-prawne doby obecnej. W ten sposób powstała „Bibljoteka prawno-społeczna“. Jestto wydawnictwo perjodyczne; co dwa tygodnie ma wychodzić jeden zeszyt. Odczyt prof. Menzla wypełnia zeszyt I.

Autor postawił sobie za cel omówienie zasadniczych systemów wyborczych.Rozpatruje więc tzw. historyczne przedstawicielstwo interesów, które polega na reprezentacji poszczególnych warstw społecznych, jak szlachty, mieszczan, kleru, włościan, oraz korporacji; przedstawicielstwo oparte na cenzusie wyborczym; równe, tajne, powszechne prawo głosowania; wreszcie projektowane przez teoretyków prawa państwowego, ale nigdzie jeszcze nie wprowadzone przedstawicielstwo interesów poszczególnych grup społecznych, jak rolniczych, przemysłowych, artystycznych, pracowników umysłowych itp.

Autor słusznie odrzuca przedstawicielstwo historyczne interesów, oraz system cenzusowy. Poddaje też ścisłej krytyce przedstawicielstwo interesów współczesnych grup społecznych, wykazując, że trudno byłoby ilościowo ustosunkować posłów od tych grup; istotnie, gdyby bowiem za punkt wyjścia wzięto liczbę ich ułamków, to byłaby to tasama zasada, co stosowaną jest przy równem i powszechnem prawie głosowania; oznaczyć zaś stopień pożytku poszczególnych grup dla państwa niepodobna, z powodu braku odpowiedniego miernika.

Przeciwko systemowi cenzusowemu w różnych formach, autor też wysuwa uzasadnione argumenty, twierdząc słusznie, że nadawanie wyłącznych, albo większych praw głosu w zależności od wysokości opłacanego podatku bezpośredniego nie jest słusznem, gdyż państwo nie jest towarzystwem akcyjnem, a zresztą ci, co nawet nie opłacają podatków bezpośrednich, płacą pośrednie, spożywając odpowiednie produkty.

Sam autor wypowiada się ostatecznie za powszechnem prawem głosowania, wykazując, że do niego zdążają reformy polityczne w różnych krajach.

Omawiana tu broszura jest napisana jasno i zwięźle, liczy zaledwie str. 30. Charakteryzuje też dobrze różne systemy wyborcze; jest też bardzo pożytecznym nabytkiem dla naszej literatury popularnej, dziś szczególnie, kiedy sprawa reformy wyborczej w Austrji jest na porządku dziennym i kiedy różni szarlatani polityczni z obozu wstecznego, pod pozorem „naukowej“ krytyki, występują przeciwko powszechnemu prawu głosowania.

Jeden tylko zarzut zrobić można autorowi, mianowicie, że nie omówił sprawy wyborów proporcjonalnych przy głosowaniu powszechnem. Tylko bowiem system, łączący te dwa pierwiastki razem, daje gwarancję, że większość w parlamencie zgodną będzie z większością w narodzie i w narodach, wchodzących w skład państwa.

L. Kulczycki.

Dr. A. Fournier: Dla naszych synów, gdy dojdą do dojrzałości. Przełożył dr. Z. S. Wyd. M. Arcta w Warszawie. Książki dla wszystkich.

Jest to odczyt wygłoszony przez dr. Fourniera w Tow. profilaktycznem do młodzieży, przechodzącej już w stan dojrzałości. Książeczkę dr. Fourniera uważać należy za nader pouczającą i pożyteczną, mogącą wielu nieroztropnych pobudzić do refleksji i odciągnąć od trądu, który się rzuca nie tylko bezpośrednio na jednostkę, ale na całe przyszłe pokolenia, który z człowieka robi karła — bezużyteczny, a właściwie szkodliwy czynnik w życiu społecznem. Odczyt traktowany naukowo i poważnie, ma jeszcze tę zaletę, że jest popularny, przejrzysty i z widoczną troską o dobro młodzieży pisany.

Gw.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.